

Tekst napisany w 2004 roku przez młodą literatkę, 18 letnią pannę Annę Radziejowską na temat impresji o obrazach Beksińskiego. Tekst ten zamówiłem u niej po przeczytaniu jej jednostronicowej odpowiedzi, która bardzo mi się spodobała, na zadane uczniom w liceum częstochowskim pytanie o ich wrażenia z wystawy Beksińskiego w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie w 2003 roku.

*...te same obrazki pokazywane są każdemu na całym świecie
i w związku z tym można sądzić o pewnych zahamowaniach,
czy pewnych potrzebach danego człowieka, w zależności od tego,
jaką historijkę dopisze on do danego obrazu.*

No to ja jestem chyba twórcą takiego swobodnego testu Taylora — mówi Zdzisław Beksiński - Każdy się wypowiada, a zatem ja nie bronię, no bo wreszcie jak ktoś potrzebuje...¹

Korzystając z pozwolenia Mistrza wypowiadałam się więc... Mogę zabrać głos, gdyż spełniam podstawowy warunek ku temu: *chodzi o to, żeby obraz robił wrażenie*² - pod wrażeniem zaś jestem ogromnym.

Arcydzieła Mistrza są jak mięsożerna roślina, która zawija szczelnie w swój kokon-kwiat każdą zdobycz, to obrazy-pięści z niewyobrażalną siłą pukające w (dobijające się do bram wyobraźni) bramę wyobraźni. Uchylam mosiężne wrota... nieśmiało przekraczam magiczny próg i z nienasyconą ciekawością wnikam w malarski świat. Czuję się wtedy niczym biedny Kopciuszek, któremu подарowano piękną sukienkę i złote pantofelki, by mógł znaleźć się na balu u króla. Jednak, w tym wypadku, nie muszę spieszyć się, by powrócić do rzeczywistości zanim wybije dwunasta - magiczna wróżka okazuje się łaskawsza. Znajduję się w bajce tak długo, jak sobie tego życzę. Co więcej, to ja ustalam reguły gry, panujące w mojej fantastycznej krainie, sama „piszę” opowieść...

Zagubiona popod chmurą farb, szukam drogi... Wśród tych milionów mrugających światel w ciemną, złowrogą noc. Wokół mnie latające obiekty jak zagubione cząstki wszechświata, wirujące w otchłani niczym piórka unoszone przez wiatr. Jeden z obiektów jest być może sprawcą zaćmienia Słońca, które właśnie zza niego się wyłania. Olbrzymia, niebywałych rozmiarów „planeta”, jednocześnie maleńka, bez znaczenia, zagubiona w czasie i przestrzeni, rzucona na bezkresne wody wszechświata, skazana na zgubę i zapomnienie. Utrwalił ją Mistrz na obrazie z roku 1975, uchwycił ułamek sekundy, zatrzymał poruszającą się z niebywałą prędkością gwiazdną kulę, by ukazać cały jej maleńki świat, a w nim jedno maleńkie życie, które *można ująć jako niepotrzebny epizod, zakłócający błogi spokój nicości*³ Obiekt przypomina bulwę, wyrwany kawałek ziemi, w którego trawie toczy się życie maleńkich istot - liliputów, wysłanych w drogę do nikąd przez potężnego Guliwera, dobrodusznego olbrzyma, który nieumyślnie wyrządził krzywdę tak małym, że wręcz niewidzialnym współmieszkańcom tego padolu.

To część Ziemi wyrwana z korzeniami - mająca jeszcze szansę na odrodzenie się w innym środowisku, „część” życia w poszukiwaniu warunków do życia, niesiona po świecie, krążąca wokół w nadziei, że gdzieś jest jeszcze bezpieczny ląd. Ocaleni to świadkowie okropnej tragedii, apokalipsy, katastrofy, jaka wydarzyła się na dawnej Ziemi, nieznanym obiekt to ostatni fragment Ziemi, jej „okruch”, na którym toczy się jeszcze życie, będące ostoją ludzkości - rodzaj *Arki Noego*. Pozostali nieliczni, *ocaleni od smutku i cierpienia, bezpieczni jak łzy w czasie deszczu*⁴ To ludzie szukający nowego, własnego miejsca, odcięci, odizolowani od świata, bez szans na otrzymanie pomocnej dłoni od drugiego człowieka. Tak osamotnieni, że wydają się żyć każdy w swych szczelnie zamkniętych muszlach, do których nie dochodzi nawet jeden promyk nadziei. Odgródom potężnym murem, bądź też przegrodzeni przepaściami, uniemożliwiającymi zrobienie choćby jednego kroku - grozi to powolnym opadaniem na dno zapomnienia, lotem w ciemną otchłań. Takie wyobrażenie ludzkiego bytu Artysta prezentuje w pracy z roku 1975 („Ogniska życia”). Ziemia podziela tu los rozbitków, nie ma na jej powierzchni żadnej roślinności, nie daje radości kolorowy kwiat, nie wzbudzą zachwyty rozłożyste korony drzew. Ziemską taflę to popękana skorupa z

licznymi kraterami. Fragmenty globu - wysokie pale, to miejsca, gdzie skupia się życie. Siedzące wokół ogniska postacie darmo wyczekują ratunku, pomoc nie nadejdzie z nikąd, istoty te skazane są na zgubę - powolną śmierć. Na niektórych fragmentach Ziemi powoli gasnący płomień, ogniska podtrzymujące przy życiu, dające ciepło, oświetlające ciemną otchłani panującą zewsząd złą noc. Wydaje się, że noc nigdy się nie skończy, latający fragment wszechświata nie odsłonił życiodajnego ciepła - już nigdy nie „wезде” światło i wśród rozbitków *nadziei coraz mniej na słońce*. Pozostał tylko ogień - bezcenny dar Prometeusza, gdy ogień zgaśnie, wygaśnie też wszelkie życie. Dlatego teraz każdy pielęgnuje swój mały płomyk nadziei, ze wszystkich sił dba o to, by nie zgasł. Lecz wkrótce przyjdą złi ludzie, odkryją oni nową, niszczącą moc potężnego żywiołu. Stworzą ogień, który zabija.

Bezmyślny próżny Neron zada śmierć Rzymowi. I oto rozegra się nowa tragedia, której początkiem będzie - człowiek. Przerażający widok wzbudzi sumienie, rozum potężnego władcy lecz będzie późno już, zbyt późno na ratunek... Neronowi pozostanie tylko obserwować skutki swego niecnego czynu, stojąc w drzwiach pałacowego balkonu, gorzko płakać i widzieć jak płoną wspomnienia, płonie miasto, płonie ostatnia nadzieja... Zamęt, strach, krzyk bólu i rozpacz, a potem już tylko cisza, martwa, złowroga cisza i kurz opadający na zgliszczu. Ciemność. Pozostałości po tragedii ukazane są na obrazie z roku 1979.

Widzimy granatowe niebo, które miejscami tonie w szarości, wręcz w czerni. Na wschodzie mały blask, rozświetlony fragment ciemnej otchłani, na zachodzie jeszcze jaśniejsza, wąska smuga światła, świetlisty punkt - czyżby spadająca gwiazda? W oddali mały budynek - zniszczony, szerniały, tonie w ciemności, w zapomnieniu. Brak innych budowli, brak drzew, łąk - nie ma żadnej przyrody. Na pierwszym planie wielkie krzesło z licznymi, wyrzeźbionymi ozdobami i wielkim, zielonym, drogocennym kamieniem na samym szczycie oparcia. Kamień ten, jak również okazałość krzesła, symbolizują władzę. To na pewno krzesło króla. Ważna jest również wielkość krzesła - jest wyższe niż budynek z prawej, lekko przechylone, jakby unoszące się w powietrzu, lecz nieznacznie. Pod nim połamane przedmioty, kawałki drzewa, wszystko to okryte kurzem, owiane mgłą tajemnicy. Bokiem na krześle siedzi czyjaś postać, na samym jego końcu, odwrócona plecami, zgarbiona. Osoba ta jest ubrana w długi, czerwony płaszcz - purpurę symbolizującą władzę. Król nie jest jednak ukazany w pełni chwały - z berłem, siedzący pewnie na swym tronie, z wzrokiem utkwionym w oddali, poważnym wyrazem twarzy, zdradzający wielki intelekt, pewność siebie, poczucie władzy. Jest to mały człowieczek, nie sięga nawet do połowy oparcia krzesła, jego chude, zwisające bezwładnie nogi, skierowane stopami do siebie, nie są nawet w jednej czwartej tak długie jak nogi krzesła. Nie widać twarzy króla, cała głowa kryje się w kołnierzu płaszcza, również zwisa bezwładnie, jakby w geście poddaństwa, kompletniej niemocy. Także prawa dłoń nie spoczywa na oparciu, lecz jest opuszczona. Ręka, podobnie jak nogi i cała postać, kompletnie wychudzona, jakby zmęczona, bezsilna. To ogólny opis małego człowieczka, załamanego, przygnębionego, smutnego, poddanego. Pozycja, jaką przybiera, zawiera w sobie wielki ładunek emocjonalny. Mimo, iż jest odwrócony tyłem i nie widzimy jego twarzy, potrafimy odczytać, wysnuć wniosek, co do uczuć, jakie targają postacią. Jej ruch ciała jest znaczący. Podobnie bogaty przekaz emocji odczuwalny jest w grafice z roku 1978. Tutaj znów nie widać twarzy ukazanej postaci, niczego zatem nie powiedzą nam jej oczy, jednak nie musimy w nie zaglądać, żeby odgadnąć, widoczne przecież ludzkie cierpienie. Wsparty na łokciach człowiek jest pochylony, głowę kryje w dłoniach, spoza których opadają w tył rozwiane jego włosy. Widoczne jest napięcie żył i mięśni, zacisk pięści, w których to kryje się tajemnicza twarz. Człowiekiem tym targa ból, z którym nie może sobie poradzić. Przybrana pozycja ukazuje więc niemoc, okrutną bezsilność, która prowadzi do zwątpienia, załamania się psychicznego, do utraty nadziei. Ilość palców - jest ich kilkanaście i mam

wrażenie, że ciągle ich przybywa, potęguje rozpacz cierpiącego. Taki boi może wywołać tylko utrata najbliższej osoby. Podobne przypuszczenie nasuwa się w stosunku do króla, który budzi współczucie, jego bezradność jest przerażająca, mam wrażenie, że wiele wycierpiał. Nie może odnaleźć wewnętrznego spokoju. Myślę, że ma poczucie winy, czegoś żałuje, ale jest już za późno, nie może niczego zmienić, nie może się z czymś pogodzić, siedzi bezradny, skulony nic nie zapowiada poprawy. Jest zupełnie sam, za nim drugie krzesło, puste, o wiele mniejsze, mniej okazałe. Zupełnie zapomniane wynurza się z otchłani zgliszczy, jest trzecim rozpoznawalnym przedmiotem wśród pozostałości tragedii. Być może władca - ów mały człowieczek, winien jest całemu wielkiemu pogromowi, być może to właśnie gryzie jego sumienie Zniszczył swoje państwo, został sam, w oddali puste krzesło kogoś bliskiego, o kim nie może zapomnieć. Wydaje się, że na królewskim tronie siedzi już bardzo długo, trwa w przygnębieniu, skulony, zamknięty w sobie, załamany, zrezygnowany.

Postać, pozostającą w identycznej pozycji i podobną do tegoż króla, odnajduję na obrazie z roku 1972. Mam wrażenie, że spoglądam na tego samego nieszczęśliwego człowieka, którego ramiona również przykrywa długa czerwona peleryna, lecz tym razem z naciągniętym na głowę kapturem, widoczne są chude, wykrzywione i bezwładnie zwisające nogi postaci. Tutaj króla" trzyma w swych dłoniach „stwór", fantastyczna postać. Władca jest może jeszcze bardziej skulony, zamknięty w sobie. Ta postać ludzka to jedyny rzeczywisty element na obrazie. Mam wrażenie, że miejsce, w którym znajduje się król to jego wnętrze - to jakby uzewnętrznienie stanu ducha, emocji, samopoczucia psychicznego, a wszystko po to, by uczucia bohatera obrazu mogły być odczytane przez widza, odbiorcę. Król znajduje się w świecie nieistniejącym, nikomu, poza nim samym, nie znanym, fantastycznym, niezrozumiałym, w którym czuje się wyobcowany, mimo, iż to właśnie Jego" wewnętrzny świat Niesiony przez wyimaginowanego stwora, nie wiadomo dokąd, może się bronić, nie podniesie słowa sprzeciwu, nie potrafi już decydować o własnym losie, o swoim życiu. Zrezygnowany, załamany, popada w bezgraniczną rozpacz, którą *trudno udźwignąć (...) to zwycięstwo kamienia* - to wyzbycie się nadziei, woli walki, opadnięcie z sił upartego Syzyfa. Król nie toczy już dłużej swojego kamienia, „schwyty" przez własne myśli, przez wewnętrzny stan ducha, zamyka się, odcina od rzeczywistości, od świata, w którym do tej pory co krok dawał dowody swej zaradności, w którym to świecie wstąpił na pozycję władcy. Znaczył wiele, mógł decydować o losie innych. Teraz swój własny los oddał w ręce przypadku, który rządzi ludzkim życiem.

Jego myśli krążą w przestrzeni, niesione są przez obcego stwora - są nieuchwytnie, ich właściciel czuje się zagubiony, wewnętrznie rozdarty. Fantastyczny przybysz może zanieść króla do budynku, który widoczny jest hen, daleko w tle. Władca nie patrzy przez siebie, z naciągniętym na oczy kapturem, trwa w ciszy, przygnębieniu, w stanie martwoty ciała i duszy. Nawet nie wie, że jego samego, przenośnie jego myśli, odlatują w dal - może ich „pozbić", nie potrafi dojść do siebie, zacząć normalnie żyć, nie potrafi zapomnieć, wymazać z pamięci obrazu tragedii.

Jest jak mitologiczny Syzyf, który musiał toczyć swój kamień - swój bagaż win. Kara wymierzona królowi to niemożność zejścia z tronu, władcę krępuje sznur sprawiedliwości, musi siedzieć na tym budzącym strach krześle władzy i głupoty.

Mimo iż zawinił, budzi litość, lecz nie ma miejsca na litość w rzeczywistym, a jakże obcym nam świecie. Chciałoby się wyciągnąć rękę w stronę nieszczęśnika, jednak żyjemy na dwóch przeciwległych biegunach, płynąmy po rozległych morzach, oceanach... Ludzi oddziela przepaść nieporozumienia, braku akceptacji, czułości. Żyjemy wspólnie z innymi ludźmi, a jakże daleko od nich. Każdy dba o swój własny ogień... Gęsta zasłona samotności, wyobcowania, lęku, wstydu, tnie boleśnie międzyludzkie więzi.

*My ludzie XX-tego wieku, wstydzimy się Czułych
spojrzeń, miękkich gestów, ciepłych uśmiechów.*

I tak dzielimy świat na części, dryfujemy każdy na własnej krze... Miliony kawałków lodu w otchłani ludzkiego oceanu. Tysiące rozbitków na bezludnych wyspach, bez nadziei, w strachu przed atakiem „silniejszych”. Tysiące maleńkich łódeczek, które pośród ryku fal, szumu wiatru, próbują zawinąć do portu. Lecz niezwyciężony Eol, gotowy jest zatopić każdy, nawet najlepiej skonstruowany okręt.

Cóżeście uczynili (...)? Biada wam!

(...) Bądźcie potępieni, klótlivi ludzie.

*Dlaczegoście (...) nie żyli spokojnie, w zgodzie i miłości braterskiej'(...)? Więc
wstanie słońce i dzień przyniesie straszniejszy niż ciemność, a ciszę okropniejszą niż są
burze na morzu, bo będziecie się lękać sami siebie.*

*A śnieg ten stanie się morzem, a fala jego zieloną będzie, a dom wasz ginącym okrętem
będzie.*

I popłyniecie w krainę zapomnienia, skąd nie będzie już powrotu.

Statek - wielka, niezdobyta twierdza, niesiona przez maleńkie fale, muskana delikatnymi podmuchami wiatru, płynie spokojnie po płótnie, na które rozlana została tęcza podniebnych barw. Przeróżne odcienie niebieskiego koloru, poprzez lazurowy, seledynowy, błękitny, jasny niebieski, ciemniejszy, modry, aż po granat, widnieją na obrazie z roku 1985. Okręt potężny, dumny, wyprostowany, pokornie podąża za zielonymi falami, tańczy w rytm odgrywanej przez nie melodii. Jest marionetką, zabawką, pozostającą w rękach niezwyciężonego żywiołu. Nie pomogą starania marynarzy - nikt nie zmieni kursu statku, niewidzialna moc wyznacza tor, drogę, prowadzącą wprost w ciemną otchłań. Zagubieni darmo wzywaj ą pomocy... Mimo iż kadłub statku wykuty jest z kamienia, okręt, choć potężny, wydaje się być lekki, nie płynie, a wręcz frunie, mknie przez morskie przestworza... A może to dusze zmarłych marynarzy gonią chmury, ulatując w niebo. Giętke, przezroczyste cienie delikatnie wirują w powietrzu, gnane przez wiatr, lecące daleko w błękitną otchłań. Statek od dawna jest opustoszały, nie błądzi w labiryncie podpokładowych korytarzy żadna żywa dusza, statek jest martwy.

Nieruchomy, uśpiony trwa w ciszy pośród budzących się żywiołów. Podniebne fale i fale morskie poruszają się lekko, miarowo, pulsuje krew w krwioobiegu świata, napędzana przez bijące serce globu, zrywa się wiatr, kolejny żywioł, odważny, waleczny rycerz, pędzący na białym rumaku, krążący wokół statku, niczym wokół zamkowej wieży, z której odlatują delikatne nuty pieśni, kobiecy głos jak syk węża przyzywa szumiący wiatr. Włosy kobiety podmuchujące, wirujące w powietrzu, trzepoczące jak proporce na wietrze, unoszą statek, który powoli odpływa w ciemność zapomnienia, śmierci. Obserwujemy jak znika, jak wielki, monumentalny krzyż, wykluty na rufie statku staje się coraz mniejszy i mniejszy, oddala się, a z nim odpływa nasza pamięć, wyrzeźbiona dłutem życia. Morze uniesie wszystkie posągi ludzkie, twarde skały uczuć, nasze smutki, nasze grzechy i łzy, radości łzy i smutku, chwile szczęścia i rozterki, niepewność i żal i smutek i noc, noc ciemna nastanie... Okręt odpływa gnany wiatrem wspomnień, które także ulatują, lecz przywołane powrócą, tylko okrętu nikt już nie zawróci. Morze zmyje wszystko, woda zetrze krew, *i przejdą deszcze, zetną deszcze, jak kosy ciche, bezbolesne*, pozostanie gładka tafla jeziora dusz, pusta, bezdenna, obca, głęboka, fałszywa. Przyjdzie mróz, zimna biel pokryje przezroczystą toń, lodowe serce oceanu przestanie bić, zaśnie. Lód skruszy dopiero olbrzymi statek czasu, a oderwane kawałki, twarde diamentowe kry, rozplyną się w cztery strony świata, odpłyną w dal. Powstałe elementy nie łączą się już w postaci lodu, dopiero gdy wszędzie słońce, ciepłe jak bijące serce, a uwieczona w czterech ścianach woda, opuści mroźne więzienie, na powrót zleją się potoki naszych łez. Słońce przyniesie także złowrogą ciszę dnia, ciszę na morzu, która da wyczekiwanie, w strachu, niepokoju... Za chwilę coś się wydarzy, huragan zerwie żagle,

ciemne niebo rozjaśni na moment blask błyskawicy, nadejdzie burza. Trójząb Posejдона wzburzy ocean, obudzi fale, wysokie jak drapacze chmur, które zmiotą wszystko w zasięgu wzroku. Zostanie tylko jeden okręt, który wciąż będzie płynął, nigdy nie przycumuje do portu, nie zmniejszy prędkości, ani jej nie zwiększy, nie zmieni się nic przez wieki. Potężny okręt czasu okrążyć będzie glob, a my - malutcy, nieszczęśni, w swych łódkach, zajęci rozwijaniem żagli, próbować będziemy dogonić odpływający pomału czas. A gdy stracimy okręt z oczu nastanie kres naszej wędrówki. Zamkniemy oczy, by po ich otwarciu ujrzeć nieznany dotąd ląd... I znów rozpocznie się wyścig, z góry przesądzony, przegrany.

O przemijaniu i upływie tak drogiego nam czasu przypomina szkic z 1978 roku, przedstawiający wrota wieczności, które powoli przesuwają się, by za chwilę zamknąć się... na zawsze. Za bramą- ogród, miejsce, w którym pragniemy się znaleźć. Tymczasem brama zamyka się, biegniemy, pędzimy co sił, walczymy z okropnym bólem mięśni, zatrzymywani przez wiatr, deszcz, liczne przeszkody, stawiane przez los, walczymy z niepokonanym dotąd przeciwnikiem. Wskazówka zegara wciąż się przesuwa, już tylko minuty, sekundy... a czas stanie w miejscu, brama zamknie się na zawsze. Monotonny dźwięk wskazówki, zmieniającej swe położenie, denerwuje, popadamy w rozpacz, tracimy nadzieję...

Przy dokładnej obserwacji zegara zauważyć można, że jego wskazówki poruszają się w lewą stronę - czas cofa się. Wrota dążą do otwarcia? Na niebie księżyc, a w tarczy zegara słońce powoli budzące się ze snu. Jeśli założyć, że wskazówki zegara naprawdę poruszają się w lewo, dochodzi druga nad ranem. Otwierające się drzwi symbolizują więc początek nowego dnia. Dzień kolejny, jeszcze jeden - następna szansa nam dana, możliwość wejścia do ogrodu...

W krainie zieleni, w dolinie mgłą zawianej, wśród kolumn topoli, (...) przecuciem szuka zakrytego świata odważny wędrownik, badacz, odkrywający nową rzeczywistość, szukający wejścia do drugiego obszaru. Albowiem *są rzeczy poznane i nie poznane a między nimi stoją drzwi* Co można zobaczyć po drugiej stronie, po przekroczeniu tajemniczego progu? Świat za nimi widoczny, świat z obrazu z roku 1977, nie różni się od tego, jaki oglądamy na co dzień. Za to świat, który pozostawiamy za sobą, z którego wychodzimy - nasz „dom” , to tylko szare ściany, pustka, czarna ziemia, kamienie. Przepiękny krajobraz: zieleń rozległych równin, burza obłoków, świt wschodzącego słońca, to wszystko możemy ujrzeć, przekraczając wzrokiem magiczny próg, możemy pomalować rzeczywistość, wnieść do „domu” część innego świata, świata wyobraźni. Widzimy świat, jakim według nas powinien być, naprawiamy to, co złe, niesprawiedliwe, znajdujemy ukojenie, choćby żdźbło szczęścia, chwilowego, wyśnionego, tworzymy krainę, która jest nieopodal, o krok, za niewidzialnymi drzwiami umysłu. W długim, wysokim murze jasny otwór - nasze wejście, nora, w której się skrywamy, by w ciemności, spokoju przeczekać, by skryć się przed fałszywym światłem. To nasza kryjówka, wejście do niej znamy tylko my, to nasze miejsce, nasz azyl. *Szczęśliwy, kto się w ciemnych marzeń zamknął ciszę.*

Jesteśmy w kapsule, dookoła ściany, nie przedostaje się żadne światło, szczelne są bariery naszej wolności, nieprzystępny to pokój, choć bez ścian.

Zapadając w sen również przekraczamy pewne drzwi, otwieramy nasze drugie oczy, marzymy, odwiedzamy różne zakątki świata, śnimy.. Choć kto wie, może we śnie dopiero żyjemy naprawdę... *przecież świat, który obserwujemy, nie jest obiektywnym wyobrażeniem na temat świata...* Gdy śnimy, marzymy, nasze myśli odpływają w dal, dryfują ponad realnym światem, szukają innej rzeczywistości. Jak radosne, poranne mgły tańczymy nad przejrzystą taflą jeziora, ukrytego pomiędzy, sięgającymi obłoków, potężnymi górami. Nasz śmiech echem odbija się od skalistych ścian, unosi się i przenika z zapachem górskich kwiatów, rześki powiew powietrza znad wodospadu, rozbijającego się z hukiem o podnóże skał orzeźwia, pobudza do działania, do lotu, w którym nasze ciała wirują, swobodnie

kołysząc się w powietrznych korytarzach. Nic nie ogranicza naszych ruchów, decydujemy o tym, gdzie za chwilę się znajdziemy, jesteśmy panami przestworza, panami całego świata. Radość rozpira nasze serca, rozkładamy szeroko ręce i chwytamy życie. Nasz los jest tylko w naszych rękach. Wolny jest nasz duch, oswobodzonym staje się umysł, do naszego ciała dopływa energia i moc. Jesteśmy silni, jesteśmy w stanie zawładnąć losem, zapanować nad sobą, nad swoimi emocjami, jedynie czasu nie potrafimy zatrzymać, nie potrafimy nawet zrozumieć co to właściwie jest czas, nie możemy, albo nie chcemy.

Nie potrafimy zrozumieć fenomenu czasu, ogromnej ilości rzeczy nie potrafimy zrozumieć ze świata, który nam się wydaje taki oczywisty, a który tak na prawdę jest wielką tajemnicą, podobnie jak każdy z nas. Co kryjemy w sobie to nawet dla nas samych jest zagadką.

Niezbadana jest natura ludzka, to głęboka, ciemna otchłań - nie przenikniemy jej wzrokiem, nie dowiemy się, co leży na jej mulistym dnie. Nigdy nie możemy być do końca pewni... siebie, niezbadane są nasze serca. Dopiero w obliczu próby odkrywamy kolejną prawdę o sobie, w obliczu niebezpieczeństwa potrafi rozbudzić się w nas prawdziwa odwaga. W końcu *tylko o sobie wiemy, ile nas sprawdzono.* Życie co chwila stawia nas w obliczu próby, same będąc wielkim sprawdzianem. Wrzuceni niespodziewanie do morza życia, każdego dnia walczymy o to, by pozostać na powierzchni, by nie utonąć, nie wypuścić ze swej dłoni ukochanej osoby, by przetrwać. Płyniemy... Płynie świat, czas płynie - okręt czasu albo zabiera nas na swój pokład, lub też pozwala nam płynąć dalej, o własnych siłach. Jesteśmy jak statek, który nie może przybić do brzegu, ani zawinąć do portu. Bezustannie zmagamy się z morskimi siłami, z rzecznyymi prądami. Niejednokrotnie zmuszeni jesteśmy płynąć pod prąd i choć zadanie to wydaje się niemożliwym do wykonania, poprzeczka za wysoko postawioną, płyniemy, walczymy z potężnym żywiołem. Lecz sił szybko ubywa... O tym jak łatwo stracić wolę walki, wszelką wiarę i nadzieję przekonuje nas osoba króla. Nasz bohater pozwala porwać się fali. Władca siedzi na swym tronie, który wraz z morzem zgłiszczy odpływa... Król zwiesza głowę, podczas gdy jego świat odpływa... Władca nie próbuje walczyć, popada w stan odrętwienia, przyjmuje bez sprzeciwu to, czym obdarza go los, pozwala życiu samemu się toczyć, nie wpływa na bieg wydarzeń, w pełni zrezygnowany trwa w bezruchu. Jest łodzią bez steru, zmierzającą wprost do ujścia rzeki - lada moment statek wpadnie do morza, zaginie wśród fal.

Otóż ja, łódź ginąca (...) Wolny, rzeźwy, dymiący, odzian w mgły dziewicze płynę, toczy się me życie. A wszystko zaczęło się od maleńkiego źródełka, w miarę czasu przemienionego w "silną" rzekę, której koryto, niejednolite, nieforemne, wytoczyło pełen zakrętów szlak - życiową drogę, dla niektórych dłuższą, dla innych krótszą i bardziej niebezpieczną. Bywa również tak, iż źródło nie zdąży nabrać mocy, nie rozpocznie wędrówki, wyschnie. Los nie da nam szansy zbudować swojego okrętu i przemierzać nim wody życia. Nie odbijemy od brzegu, nie popłyniemy. Z czterech żywiołów: wody, powietrza, ziemi i ognia, ten ostatni okazuje się być najsilniejszy na obrazie z !!! !!! !!! !!! !!! '!' '!' !!! !!!

silniejszą okaże się siła ognia. Potężny żywioł rozkołysze swymi płomieniami maleńką kołyskę, tak jak czyni to na obrazie z roku 1973, na którym, niczym w trakcie trzęsienia ziemi, widoczne są spadające z nieba odłamki skalne, części muru, cegły, blachy, drewniane bale, zewsząd proch... Wielka pożoga. Na płótnie dominują czerwone barwy - wszystko spowite jest w płomieniach. Tylko niektóre budynki są już szerniałe, (zawalające) się, spróchniałe. W oddali pasmo bloków mieszkalnych. Opuszczone już pokoje, z oknami bez szyb. Przez otwory okienne śmiało wyglądają języki płomieni, które opanowały już wszystkie kondygnacje budynków. Nie wytrzymują stropy, jeden po drugim "kruszą" się dachy, opadają gruz, cegły; budynki rozsypują się jak domki z kart, nieopatrznie zdmuchnięte zbyt mocnym oddechem. Dla mieszkańców nie ma już schronienia, panuje popłoch, zamęt. Człowiek ratujący się przed ogniem, widziani z pewnej wysokości, wygląda jak szczur, uciekający

przed płynącymi ulicami strugami wody. To postać skulona, biegnąca przy pomocy czterech kończyn, pokonana, upokorzona, zhańbiona, „obdarta” ze swego „Człowieczeństwa”. Przestraszona, oślepiona lękiem, porażona strachem, nie myśląca o niczym więcej jak o własnym bezpieczeństwie, z całych sił pragnąca przeżyć, wiedzona zwierzęcym instynktem, czująca rozprzestrzeniające się niebezpieczeństwo - ucieka... Ucieka od ognia, od innych ludzi, opuszcza znane dobrze miejsce, miejsce, do którego jest przywiązana. Ucieka, lecz nie wie dokąd, jej twarz jest zabandażowana - nic nie widzi, być może także nie słyszy. Jednak niebezpieczeństwo czuje bardzo dobrze, wysoka temperatura tworzy barierę nie do pokonania, twardszy niż z cegły mur odgradza drogę uciekającej postaci, ostatniej znajdującej się jeszcze w strefie zagrożenia. Wszyscy zdążyli już opuścić płonące miasto, za chwilę na placu nie będzie już nikogo. Zapadnie cisza...? Czy może da się słyszeć dziecięcy płacz *tak rozdarty, i tak żaloszny, I tak z głębokich wnętrzości wyjęty I tak rozumny! i tak przekłety!! I bez nadziei już! I bez pamięci!*

Do wnętrza kołyski zajrzy., śmierć. Ona ukołysze do snu niemowlę, które dopiero niedawno zbudziło się i swymi, małymi, niewinnymi oczkami ujrzało świat. Posłyszało jego hymn - *hymn posepny: śmiech ludzki nieszczery, głuche cierpiących jęki - dźwięk niesfornej struny.* (GODZINA MYŚLI SŁOWACKIEGO, STR. 123) Niemowlę cicho leży, a przy nim czuwa tajemnicza postać (plótno z roku 1974). Długi kaptur zakrywa jej twarz, jeśli takową w ogóle posiada, gdyż we wnętrzu kaptura tkwi pustka, tajemnicza czarna otchłań, nie wiadomo jakie moce w sobie kryje. Postać (ta) jest wychudzona, zrezygnowana, wyraźnie opadła z sił. Jeśli przyszła, by zabrać niemowlę ze sobą, z pewnością uczyni to niechętnie, widać, iż nie ma siły spełniać dłużej swej powinności - śmierć jest zmęczona, zupełnie jak w filmie Lange "Zmęczona śmierć" -jeszcze czarno-białym, (bez słów?), z przejmującą muzyką?. Śmierć najwyraźniej pragnęłaby nie siać dłużej smutku, nie sprawia jej to przyjemności, jest znużona, jednak *ktoś musi nie spać, aby mógł spać ktoś...* A więc nieszczęśliwa, zagubiona, przychodzi i jak matka siada przy maleńkiej kołysce, głaszcząc dziecię po głowie, nuci słowa kołysanki, sprawia, iż maleństwo zamyka powieki. A potem prawdziwa matka długo siedzi *O zmierzchu przy oknie (...) trąca nogą bieguny... Ale już nie ma kołyski, Ale nie ma już dziecka. Poszło pomiędzy cienie. Matka sama siedzi o zmierzchu, Kołysze nogą wspomnienie. MATKA STAFF*

Które nigdy nie umiera, tak samo jak ból, pozostawiony po stracie bliskiej osoby. W miarę czasu ból tan zanika, lecz na sercu pozostaje blizna, ślad po otrzymanym ciosie. W wyniku którego serce kiedyś zapłakało, obumarło, nie chciało bić. Cierpiący zaszył się w noc, uciekł przed słońcem, które raniło jego duszę. W ciemności jest cicho, spokojnie, bezpiecznie, w nocy wszystko jest martwe, także myśl o śmierci staje się nieuchwytna. Można w milczeniu wpatrywać się w ciemność i starać się zapomnieć, nie czuć, nie oddychać tym życiem. Nasze oczy, szybko przywykają do zmroku, widzą kształty przedmiotów, analizują odległość, jaka dzieli nas od innych osób, unieruchomionych, wiszących pośród nocy, także w ciszy pograżonych, nieobecnych myślami, gdzieś zgubionych. Można wyczuć ich oddechy, są tuż obok, jakże blisko, a jednak tak daleko od naszych spraw, problemów, naszych pragnień. Jesteśmy sami, sami dźwigamy ból, którego kolce ranią nasze dłonie. Słodka krew znaczy długą drogę, wąską, pełną cierpienia ścieżkę goryczy. Stróżka krwi płynie po schodach, w ciszy słysząc jak kapie ze stopnia, na stopień. Lecz kiedyś *przyjdą deszcze*, ból i cierpienie *zetrną deszcze, jak kosy ciche, bezbolesne.* Woda zmyje krew, rana zablizni się. Lecz zanim zaczną spadać ostre niczym kosy krople deszczu, cierpiący, w oczekiwaniu na ciemną,

burzową chmurę, brzydzą się widoku słońca, boją się jego ciepła, uciekają przed świtem. Dopiero po wielkiej ulewie nieśmiało budzące się słońce witamy z radością, z nową nadzieją spoglądamy w przyszłość, znowu chwytny za wiosła. Wcześniej, gdy czarne nocne niebo rozjaśnia złota kula dnia, w pośpiechu zamykamy oczy, zaciskamy pięści, wbijamy palce w mur zapomnienia, jak czyni to postać z obrazu, powstałego w roku 1979. Na płótnie tym zza białych obłoczków lada moment wyjrzy jasne słońce, na zobaczenie którego jeszcze nie przygotowana jest postać oparta o filar *czego(kiosk, belweder)budowli?* Wtapia ona swoje palce w twardy beton, który pod naporem rozpaczy i (kompletnej)zupełnej niemocy poddaje się sile rąk. Głaz zachowuje się jakby był miękką materią, której możemy nadać dowolny kształt, z łatwością możemy zmieniać jej strukturę. Lecz plastyczny jest tylko w miejscu, gdzie spoczywają dłonie postaci, reszta filaru wydaje się być niezmienną i pozostaje twarda, głucha, niewzruszona, nieświadoma tego, co dzieje się z maleńką jej częścią, z obszarem, który dotykają ciepłe dłonie. Pod ich wpływem pozostała zimna, kamienna powierzchnia rozłamuje się, pęka, rozsypuje się przygnieciona wielkim ładunkiem bólu, jaki z nas wypływa.

Jak tu nie myśleć o śmierci, kiedy jest ona wszechobecna? Zdzisław Beksiński ukrywa śmierć pod różnymi postaciami, kamufluje ją pod postacią cyfr, znaków, nie zawsze zrozumiałych dla przeciętnego widza. Jest to rodzaj zabawy, jaką prowadzi Mistrz ze swymi odbiorcami. Zdzisław Beksiński wyjaśnia znaczenie cyfry 94 na tramwaju umieszczonym na płótnie z roku ...: "wg dodaje się cyfry w każdym razie 13 .. patrz ja też wiem" (SPRAWDZIĆ!) W wielu obrazach Mistrza odnajduje informację o śmierci, jej ślad, wręcz widoczne są ślady jej stóp na drodze, którą właśnie przeszła. Widać wykrzywione z bólu twarze osób, które się z nią zetknęły. W powietrzu wisi smutek... Emocje grają główne role, każde uczucia targające wnętrzem ukazanej postaci są bardzo czytelnie uzewnętrznione. Odpowiednie ułożenie rąk, gest ciała, spojrzenie, grymas twarzy pozwalają odbiorcy zrozumieć sytuację bohatera z obrazu, odczytać jego myśli. Wymowny gest osoby wbijającej swe paznokcie w twardy, marmurowy filar, niezliczona ilość palców targających włosy na głowie, kompletna niemoc uwidoczniła w załamaniu ramion, skuleniu postaci. Samo zło również ujęte jest na wiele sposobów. Często jest to obraz tragedii, jaka się już rozegrała: rozścielane gęsto trupy, szkielety ciał, pole szczątków ludzkich zatopione w czerwieni zachodzącego słońca. I znowuż motyw wody, fal, które tworzą ludzkie kości i czaszki. Falujące morze nienawiści rodzi nadzieję - to, co złe odpływa. Zagadką pozostaje to, *co może przynieść nowy dzień*. W każdym tragizmie tkwi nadzieja, trzeba tylko umieć ją dostrzec, ochłonać z emocji, pozwolić czasowi zaleczyć rany, dać wyrosnąć nadziei, która jest jak kolorowe, pełne życia drzewo, takie jak to na płótnie z roku 1986. Jest to jedyny obraz, który moim zdaniem, tak bardzo odróżni się od innych dzieł Mistrza. Jest pełen optymizmu, dominują tu jasne, pastelowe barwy, nie ma żywych, wyzywających kolorów, nie ma czerwieni. Oczywiście drzewo nie jest zwyczajnym drzewem, jego struktura przypomina bardziej grzyba o nieregularnej strukturze kapelusza. Kojarzy mi się z purchawką, niczym z wielkim gejzerem, po naciśnięciu kapelusza z licznych otworów na nim eksplodują w górę białe drobinki pyłu. Podobne skojarzenie z gejzerem wywołuje obraz z roku 1977. To potężny wulkan, z którego czubka zaczyna wypływać lava. Z dna ziemi, środkiem wulkanu, pędzi przed siebie niszcząca siła ognia, po drodze - z wielu kanałów, rozmieszczonych na zboczu góry wydostają się płomienie, lecz cała siła gorącej cieczy skierowana jest ku górze, to stamtąd, z samego wierzchołka góry, eksploduje z niewyobrażalną siłą ostrą, przenikliwą czerwień. Uformowana w kłęby, niczym w burzowe chmury stoczy się w dół. Stojąc u podnóża wulkanu widzimy jak lava przyspiesza, jest jak potężna ściana taranującą kolejne przeszkody, jak ogromna fala zbliżająca się do brzegu. Zaraz czerwona woda rozbija się o falochrony, lada moment lava spłynie po zboczu i rozleje się po gładkiej płaszczyźnie gruntu, którego z pewnością nie pierwszy już raz wypali gorący strumień. Ziemia u podnóża góry jest bowiem wyjałowiona,

okaleczona, nie posiada żadnych roślin, nie wnosi się tu ni źdźbło trawy. Gdzie niegdzie leżą szczątki, co oznacza iż żywe istoty również spotkały się z niszczącą siłą przyrody, nie zdołały uciec przed rozpędzoną lawą. Jak daleko zdoła dopłynąć niebezpieczna ciecz, czy wedrze się do leżącego nieopodal miasta, by tam wywołać zamęt, popłoch, by uczynić spustoszenie? Czy nasze oczy ujrzą smutny obraz ginącego miasta, strach w oczach miotających się ludzi, zagubionych, pozostawionych bez drogi ucieczki? Gdy nie ma już schronienia uciekający przed ogniem, widziani z pewnej wysokości są jak szczury, uciekające przed płynącymi ulicami strugami wody. Podobnie jak postać-zwierzę z płonącego miasta ze wspomnianego już obrazu (rok 1973), jak również z okładki powieści George'a Orwell'a pt. „Rok 1984” (Wydawnictwo *DaCapo*, Warszawa 1993). Główny bohater książki podobnie jak postać z obrazu przed czymś ucieka, próbuje uratować własne ja, swoją godność. Buntuje się on przeciw „życiu w klatce”, na którą dzień i noc zwrócone są złowrogie oczy teleekranu, rejestrującego każde słowo, ruch, nawet myśl obywatela. Bowiem oczy przywódcy, oczy *wielkiego brata* patrzą... Zniewalają myśli i uczucia obywateli, którzy zobowiązani są odrzucić *świadeństwo własnych oczu i uszu*. To jest *podstawowy, najważniejszy rozkaz*. Nie wierzyć w to, co się widzi, słyszy, czego się doświadcza, co się czuje. Założyć na oczy opaskę, zabandażować zmysły, zniewolić umysł, spętać uczucia, pragnienia. Ślepo ufać, zgadzać się z każdym podawanym twierdzeniem, nawet absurdalnym, gdyż jego absurdalność przestaje być zauważalna, gdy wpajana jest w nas dziesiątki, nawet setki razy w postaci podstawowej, niepodważalnej prawdy. Lecz bohater zdziera z oczu krępującą opaskę, powoli powstaje z klęczek, odzyskuje wolność myśli, broni swojego Człowieczeństwa, gdyż uważa iż *należy bronić tego, co oczywiste i prawdziwe, mniejsza, że naiwne. (...) Realny świat istnieje, jego prawa się nie zmieniają. Kamienie są twarde, woda jest mokra (...)*. Jego samotna walka nie toczy się jednak o wolność w życiu, lecz o śmierć w wolności. Los niewolnika jest już bowiem przesądzony, los uciekającej przed ogniem postaci z obrazu również. Lecz nieszczęśliwa, walcząca o życie ofiara jest jednocześnie także mordercą, żarłoczną hieną, na której pysku widać jeszcze krew ostatniej zdobyczy. Bowiem w skrajnych warunkach, w chwili próby, wielkiego strachu o własny los zaczynają obowiązywać *prawa odwróconego dekalogu* - nie ma miejsca na dobroć, współczucie, czułość, pomoc innym, *litość (...) jest słabością*, świat wielką dżunglą, w której przetrwanie zagwarantowane jest tylko jednostkom najsilniejszym. *To niebywale, że ludzie, którzy potrafią stworzyć najpiękniejsze rzeczy pod słońcem niszczą się nawzajem*. Powstały w ciągu milionów lat porządek świata - ziemski ład, burzony zostaje przez jego mieszkańców - ludzi, istoty bezlitosne, zdolne podarować komuś bezcenny dar, a potem go odebrać. Wielki ogień zabija wspomnienia, a tym samym ich posiadaczy, gdyż zniszczyć człowieka to znaczy zniszczyć jego przeszłość, odebrać mu świadectwo swojego istnienia, swojej przynależności. Walka z żywiołem zostaje rozpoczęta, lecz szybko zbliża się ku końcowi, tragicznemu, bezapelacyjnemu zwycięstwu bezdusznego, złotego płomienia rozpalonego złotem cesarskich insygniów.

*ginęli jeden po drugim
tylko by jemu służyć
piekło było na ziemi on
stał na górze*

Neron stojący na pałacowym balkonie może tylko obserwować skutki swego niecnego czynu, a potem już tylko żyć z wyrzutem sumienia, walczyć z nienawiścią w stosunku do samego siebie. Usiąść na swym tronie i zatopić się w półśnie, podobnie jak nasz król. Być może to właśnie obciąża jego sumienie - podpalił miasto, wykorzystał potrzebny do życia bezcenny dar, by to życie odebrać, zlekceważył słowa Pana, gdyż

¹ George Orwell *Rok 1984*, Wydawnictwo *DaCapo*, Warszawa 1993, str. 86

⁷ tamże

*Powiedział Pan: daję wam ogień,
Podajcie sobie ręce i życie w zgodzie
Żyćcie w zgodzie z ptakami, Niech płoną
serca. Któregoś dnia pękło niebo. Ludzie
podali sobie noże zamiast rąk*

I upiekli ptaki - symbol wolności... Rozpostarte szeroko skrzydła, trzepoczące na wietrze, wirujące w powietrzu, zostały spalone, niczym skrzydła nieposłusznego Ikarą roztopione przez promienie słoneczne. Mit upadł. Ikar pozostał w swej klatce, uwięziony na maleńkiej wysepce, pośrodku oceanu (obraz z roku 1974). Czas stanął w miejscu, a *rzeka płynęła dalej tocząc muł i kamienie*. Mijał czas... Dogasał ogień, nad miastem zachodziło, niczym ogień palące w ciągu dnia, słońce. Mimo iż tragedia wstrząsnęła porządkiem w mieście, zachwiała ład życia, *prawa tego świata się nie zmieniają. Kamienie są twarde...* Potężna, niewzruszona kula ziemską zatacza dalej swój krąg, czas biegnie nieubłagane, a więc pora na kolejną odsłonę - przychodzi noc - bestia o czarnych ślepiach, która zamienia niebo w ciemny ocean trwogi. Królowa Nocy także pogrąża się w żałobie, przywdziewa czarną pelerynę, którą przykryje złotą kulę dnia. Teraz niebo współgra z tragedią, jaka się wydarzyła, jest uśpione, także cierpi. Na ziemi same zgłiszczą, czuć jeszcze zapach spalenizny, opary unoszą się w powietrzu, niebo powoli zaczyna rozświetlać księżyc, który swym zaciekawionym wzrokiem wpatruje się w otchłań poniżej, i i i Niebo poprzecinane smugami światła. W oddali widnieją spadająca gwiazda - zapowiedź poprawy, szczęścia? Czy spełnią się pomyślane marzenia? Tu raczej błędny, jasny punkt utożsamia się z zanikiem jakiegokolwiek nadziei. Wraz z gwiazdą znikła z horyzontu wszelka dobra myśl, uleciała w ciemną otchłań, nie zapowiada poprawy, polepszenia sytuacji cierpiącego człowieka. Gdyż nie zgłiszczą, nie obraz tragedii otoczenia, ale tragedia tego człowieka dominuje w tej wizji. Jego załamanie rąk, poddanie się, bezradność, brak nadziei działają na odbiorcę. Na wielkim płótnie tak niewiele przedmiotów i rozległa, ciemna przestrzeń. Tak niewiele ukazane, a jakże wiele można odczytać.(...)

Dziś spoglądam na okładkę płyty grupy *Collage* (pt *Moonshine*) - zespołu, który zaistniał na rynku muzycznym pod koniec lat osiemdziesiątych. Na niej właśnie TEN obraz Beksińskiego. Pierwsza piosenka zdaje się nawiązywać do obrazu - powtarzające się słowa *now I know that only heroes ery (teraz wiem, że tylko bohaterowie płaczą)* wypowiedziane przez osobę, która była szczęśliwa i nieświadoma tego, że los może się odmienić, a tak właśnie się stało. Wszystko straciło swój sens, został już tylko, jak głosi piosenka, *kawalek ciebie, kawalek mnie, jedno puste serce, jedno zaprzepaszczone marzenie, zniszczone uczucie...* Drugie, puste krzesło znika z pola widzenia, odpływ a w innym kierunku niż dryfuje tron królewski. Ile nasuwających się interpretacji, ile skojarzeń, domysłów.

to otwarte, bezkresne morza, oceany, na których wody zostajemy rzućeni.

Jednak niekoniecznie to on zniszczył to, co kochał. Być może nie było go akurat wtedy, gdy zniknął jego świat, nie było go tam, gdzie powinien, nie był ze swoim ludem, nie czuwał nad nim, nie zginął razem z nim. To jakby ziemia się poruszyła, uczyniła spustoszenie i pochłonięła wszystkich oszczędzając jednego. Czy cudownie ocalonego? Nie, samotnego nieszczęśnika. Kojarzy się z Kreonem, dla którego większą karą było pozostanie przy życiu, niż śmierć z najbliższymi. A jeśli król cierpi niesprawiedliwie, obwinia się za coś, co było nieuniknione?

Tragedia człowieka, który (wbił w ziemię krzyż) zniszczył to, co kochał uchwyciona przez Mistrza Obraz katastrofy... na obrazie z roku

Sama wskakuję do wody, nie chcę być tuż obok przed ekranem, oglądać ociekającego pianą szkła, pragnę walczyć z żywiołem, płynąć o własnych siłach, zмагаć się z własnym losem. Czuć na wargach słony posmak morskiej wody, miotać się wśród labiryntu wód, daremnie oczekiwać pomocy, poszukiwać nici Ariadny. Krztusić się nieoczekiwani wdartą do wnętrza mych płuc zimną wodą oceanu. Dogonić odpływającą trumnę... To znaczy tyle samo, co dogonić odpływający czas, zatrzymać wspomnienia.

Ilekoć wnikam w malarski świat Zdzisława Beksińskiego trop skojarzeń prowadzi nie właśnie do tego stwierdzenia - wszyscy pragniemy zatrzymać dobre chwile w pamięci, ocalić ludzi, nie pozwolić im odejść, nie tolerujemy zmian, cierpimy bardzo w chwili zawodu, w chwili utraty bliskiej osoby, boimy się śmierci. Mimo że na co dzień o niej nie myślimy jej smak czujemy w ustach, jak smak połkniętej słonej wody, nie pokonamy śmierci, tak samo jak nie wygramy z żywiołem morskim, nie zatrzymamy czasu, tak samo jak nie zmienimy rytmu fal, który wielka aorta świata pompuje do serca oceanu. Zanim pogodzimy się z czymś musi upłynąć czas, czas tak nam drogi. Nasza walka wydaje się być bezsensowna, nie wiemy czy sami wierzymy w powodzenie walki ze złem ale jednak walczymy, płyniemy w stronę znikającej trumny, co sił w ramionach wykonujemy mozolny ruch rąk, byle do przodu, niesieni przez fale, ostatnim przyrostem energii wydajemy z siebie krzyk. Krzyk potężny, prosty z *wnętrza* wydarty, przenikliwy, bolesny, prawdziwy, szczery. W końcu dajemy się ponieść fali, pół-przytomni docieramy na brzeg, gdzie leżąc w bezruchu zbieramy siły, by wstać, by dalej żyć, funkcjonować i trwać w nadziei. A morze niezmiennie, niewzruszone, tworzy maleńkie fale, które pchają do przodu trumnę. Ona to zatopi się w bezkresie błękitu, zniknie z oczu zwykłym śmiertelnikom.

Całe życie widać na płótnach Mistrza, wszystkie odczucia znaj dują na nich miejsce, te dobre i te złe, każda ważna decyzja, każdy istotny moment naszego życia, podciągnięty do rangi symbolu widnieje na obrazach Zdzisława Beksińskiego. Nowo podjęta decyzja, krok w nieznane i odczucia, jakie wtenczas targają człowiekiem ukazane są na obrazie z roku 1976. Ciemny labirynt, droga w jakimś pomieszczeniu, gdzie dawno nie stawiana była stopa ludzka - decyzja jest śmiała i wymaga wielkiej odwagi. Wielkiej odwagi wymaga także pójście tą drogą na wprost, w nieznane. Tak jak trudnym było dla mieszkańców *Osady* przekroczenie magicznej granicy wioski i lasu, za którą ponoć, w gęstwinie lasu, czaiły się potwory. W końcu najwspanialsze z uczuć kazało niewidomej bohaterce podążyć w nieznane. I może właśnie tutaj tkwi tajemnica...? Należy być niewidomym na sprawy doczesne, zamkniętym na niektóre oczywiste sprawy, a otwartym na inny świat, zupełnie niezrozumiały dla człowieka, który nie ma silnej wrażliwości i wyobraźni, by wejść w ten krąg tajemnic, często przez nas wymyślony, by wpaść w głęboką studnię melancholii, podobnie jak wpadła w nią Alicja w Kramie Czarów i zlecieć aż na sam dół świadomości. Wyobcowanie, nie identyfikowanie się z tym, co doczesne, widzenie, czucie własnego świata, artysta zdaje się przebywać w tym świecie bez przerwy, zwykły człowiek, choć na swój sposób także artysta czasem trafi na ślad i podąży nim. Znajduje nieoczekiwane doznania, czasem tworzy rzeczy, których wstydzi się potem, a mam wrzenie, że owe twory zrozumie tylko człowiek, który podobnie jak autor potrafi wejść do innego świata... Nic porozumienia przecignięta pomiędzy nimi być może zaowocuje.

Każde nowe doznanie, nowa próba to krok w nieznane, to sprawdzian swojej wytrzymałości, odporności, siły i odwagi, to z pewnością samotny krok. Można podpierać się znajomością z innymi ludźmi, ale i tak najważniejsze dla nas rzeczy potrafimy wykonać tylko my sami i sami też zdani jesteśmy na siebie. Owszem ktoś może pomóc nam chwając naszą działalność, bo my - poszukujący i ciągle eksperymentujący nie jesteśmy pewni naszych decyzji, nie stąpamy pewnie po ziemi. Bardzo przydaje się nam docenienie i zauważenie przez innych, to uskrzydla. Najpierw jednak musimy podjąć się czegoś, zaryzykować, walczyć, starać się, iść. Idziemy więc ciemnym korytarzem, dokładnie takim jak ten na obrazie z roku 1976. Brak

okien powoduje wszech ogarniający półmrok, na ścianach naszego przejścia wiszą trupy ptaków, ciała ludzkie, owinięte szatami, z których wyłaniają się cienkie, kościste dłonie nienaturalnie wysokich postaci. Na podłodze również szkielety zwierząt, porozrzucane białe, czyste kartki. Nie zapisane stronicie naszej kartoteki? To od nas samych zależy czy będą pełne literki i czy zapisana na nich historia będzie interesująca i nas satysfakcjonująca. To my decydujemy, rządymy własnym życiem. Przejdziemy koszmarny labirynt i udamy się w nieznane, zrobimy ten krok, bo w przeciwnym razie zaczniemy powoli usychać, a na pewno nie zginiemy odważnie krocząc naprzód. Wiatr przeszłości zawieje, zbierając porozrzucane karty. Ułoży je w historię tak nieprawdopodobną, że stanie się ona rzeczywistą życiową przygodą jednego człowieka, który wyszedł z niej godnie lub też splamił karty swej życiowej książki. Wybór należy do głównego bohatera, o którym dzieło opowiada. Czasem wybierając złe możemy znaleźć się w sytuacji króla, który jak bumerang powraca w mojej opowieści. Król siedzący na swym tronie i płynący w morzu zgłiszczy to obraz, który rozbudza we mnie najwięcej wspomnień, sentymentów. To pierwszy obraz Mistrza, który głęboko mną wstrząsnął, którego widziałam w półmroku galerii, w tle cicho sączyła się muzyka, niczym mgła płynęła po podłodze - niezapomniane wrażenie, które zawsze będzie we mnie tkwić i kojarzyć się z malarstwem Zdzisława Beksińskiego. Choć rzecz, która w malarstwie Mistrza wyłania się na pierwszy plan to panująca atmosfera, niezmienna, pozostająca w tym samym mrocznym kręgu, kręgu magicznym, wciągającym, nastrojowym. Moje zagubienie podczas oglądania obrazów, stan ducha - czucie się tak bardzo małym i nie dojrzałym, tak śmiesznie marnym wobec malowniczych zwierciadeł rozwieszonych na ścianach galerii. W zwierciadłach tych można się przejrzeć, lecz nie koniecznie zobaczymy w nich własne odbicie, można pokonać szklaną barierę, postawić stopę po drugiej stronie, zatopić się w farbach, w febrze kolorów, wyobcować, zamyślić, poczuć się tak bardzo zagubionym, podobnie jak zagubiona wydaje się być postać z obrazu z roku 1972. Podąża ona ciemnym korytarzem, (znów ten sam motyw drogi w nieznane), na pewno czuje się małeńka widząc po obu stronach potężne posągi, monumentalnych wielkości zakapturzone postacie. Postać podąża z latarnią, wkracza w nieznane, czegoś szuka, jest to na pewno coś bardzo cennego, w przeciwnym razie nie zdecydował by się na tak odważny krok. Być może jest to skarb, a może coś bardziej cennego - uczucie wiedzie postać tą straszną, ciemną, niebezpieczną drogą. Mężczyzna to Orfeusz zmierzający do królestwa podziemi w poszukiwaniu swej Eurydyki, gotowy na wszystko by ocalić swoją ukochaną, bez której i tak nic się nie liczy, życie traci sens. Postać stąpa śmiało, odważnie posuwa się naprzód, decyduje się uczynić zwrot we własnym życiu, wybiera drogę. Jest osamotniona, miota się w ciemności, lecz na końcu drogi czeka jasne światło, które rozleje *tęczę barw promienistą*. Niesamowite są ptaki, które spłoszone podrywają się do lotu, krążą wokół posągów, na których jeszcze przed chwilą tak cicho, spokojnie siedziały. Trzepot ich skrzydeł musi dodatkowo potęgować strach. Szum, świst wiatru i odgłosy jakie wydają ptaki to jedyne słyszalne dźwięki, w wąwozie panuje zupełna cisza, martwa wisząca zasłona. Przechodzień słyszy jeszcze własne kroki, szcęk i trzask za każdym razem, gdy stawia nogę, miarowy tupot. Spod stóp unoszą się opary kurzu, które w połączeniu z mgiełką płynącą po podłożu tworzą zasłonę, chmurkę niepewności, która niczym po błękitnym niebie, niknie przed stopami wędrowca. Z chudej, kościstej dłoni jednego z posągów zwisa medalion, zawieszony na sznurku. Moment uchwycony na obrazie to chwila, w której medalion wisi w pozycji pionowej, jednak mam wrażenie, iż przedmiot porusza się ruchem wahadłowym, mimo że znajduje się w rękach zastygłej, kamiennej postaci. Taki ruch medalionu przywołuje od razu skojarzenie z dźwiękiem. Słyszę tykanie zegara, odmierzany czas, który upływa, z każdym ruchem medalionu jest go mniej. Być może ściany labiryntu powoli zbliżają się do siebie, lub też kamienne posągi powoli odżywają. Coś niepokojącego zaczyna się dziać, atmosfera sprzyja wystąpieniu niespotykanych zjawisk... Iskrzący się ogień z pochodni wędrowca jest

również słyszalny w głuchym wnętrzu, gdzie najmniejszy szmer odbija się od ścian, słyszą go także monumentalne postaci, czujne, rozbudzające się powoli z kamiennego snu. Całe wnętrze zakłęte w muszli czasu zaczyna ożywać, poruszać się, czego nie zauważa piechur, wciąż idący przed siebie, nie widzący wyjścia, poszukujący... Człowiek niczym z filmu *Katedra* podążający w mroku, niedługo spotka się z niszczącą siłą promieni słonecznych, kończący się obrót ziemi wkrótce spowoduje świt. Lecz podróżny nie świadom jest zbliżającego się niebezpieczeństwa, nie może spodziewać się, że wkrótce także on stanie się częścią katedry, będzie stanowił jeden z jej elementów. Droga, którą przemierza podróżny, całe otoczenie, okoliczności, sposób tworzenia nastroju, wywołania lęku pobudzają zmysły odbiorcy. Synestezja środków wyrazu, ich zespolenie - działanie dźwiękiem, kolorami powoduje wyostrenie wzroku, słuchu, powonienia, przede wszystkim rozbudzenie wyobraźni, bez której nie podziałają inne zmysły. To ona pozwala zatopić się w malarskim świecie, widzieć więcej, przenikać głębiej. Dzięki niej jestem w stanie poczuć przenikliwy chłód wiejący z obrazu powstałego w 2001 roku. Widnieją na nim różne odcienie szarości, jest również biel. Ukazana katedra zatopiona w lodzie

Przy podłożu unosi się mgła, która sprawia wrażenie jakby budowla unosiła się w powietrzu, była bardziej okazałą, monumentalną, kryjącą w sobie jakąś tajemnicę z przeszłości. Front katedry to dwie kolumny a pośrodku półkoliste zdobienie. Natomiast widoczny bok budowli zdaje się być skałą, wielką jaskinią, do której wejście zostało wyrzeźbione, dobudowane. Katedra wydaje się być zatopioną w lodzie, zakłętą w bryle czasu. Wejście do wnętrza na kształt wysokiego trójkąta równoramiennego przypomina rozsuwającą się kurtynę. Widzowie, którzy wygodnie zasiedli w swych miejscach z niecierpliwością obserwują jak wrota powoli otwierają się. Lecz czy obejrzą zapowiadany spektakl. W tym wypadku chłodna, symetria